

AMNEZJAK

JAKUB NOWAK AMNEZJAK



powergraph

Warszawa 2017

Copyright © 2006-2017 by Jakub Nowak
Copyright © 2017 by Powergraph
Copyright © 2015-2017 for the cover illustration by Grandfailure via iStock
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Grandfailure (via iStock)
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
sklep.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-64-6

Druk: READ ME
Printed in Poland, EU

Karnawał

Karnawał wyruszył z Wenecji pierwszego marca 1875 roku, w dniu rozpoczęcia nalotów na Warszawę. Kiedy wraz ze wschodem słońca hałaśliwy i pijany korowód opuszczał świetliste miasto, w stolicę nieistniejącego państwa uderzyły pierwsze bomby.

Karnawał poszedł na północ. Pełzał jak glista po włoskich księstwach, niespiesznie i chaotycznie. Żywił się gwałtem, posoką i ogniem, wysrywał zgliszcza wsi i miasteczek, siał trupami tych, którzy stawali mu na drodze. Pęczniał. Rósł. Tuczyl się. Aż w końcu dojrzał: pełen morderców, dezertarów i złodziei; makabrycznych kuglarzy, zwyrodniałych pokrak i rozpadających się kurew. Pełen cynicznych księży i fanatycznych grzeszników; dekadentkich arystokratów, którym było już wszystko jedno i obłąkanych techników, o których dziełach krążyły legendy. I z tajemniczym, wiecznie pijanym Wodzirejem na czele, królem chaosu i przemocy, najbardziej okrutnym i szalonym z nich wszystkich.

Wreszcie karnawał był tak potężny, że widoczny nawet na kresowych łąkach: gigantyczna, rozwlekła kolumna gdzieś na widnokręgu, niepokojąca rozedrgana wstęga zawsze na

granicy pola widzenia. Wtedy wpłynął do Francji, by pożywić się krwią konającego kraju. A papież, zimowi kardynałowie i królowa Włoch wreszcie odetchnęli.

16 kwietnia 1876, Danzig, kawiarnia Adolfa Ozicka Długie Pożegnanie

Młody pies wleciał powoli na taras przydworcowej kawiarni. Wynurzył się niespodziewanie zza stalowych kwiatów oplatających barierkę i szybował nieporadnie ponad głowami gości. Poszczekiwał cicho do ich speszonych twarzy – zamożni i światowcy, w większości nie wiedzieli jednak rzeczy oczywistej nawet dla najmłodszych dzieci z portu w dół: pies musiał wskoczyć do pneumatycznego tunelu i rzuciło nim w górę. Kiedy kelner wyniósł zdezorientowanego zwierzaka do kuchni, wszystko wróciło do normy. Towarzystwo znów jeło obserwować kobietę w sukni w maki.

Kilkanaście stolików, kilkadziesiąt par ciekawskich oczu. Głównie Niemcy, mężczyźni w podróży (wokół nich płaszcze, walizy i parasole), nerwowo spoglądający zza fajek, gazet, kieliszków i filiżanek na przechadzającą się na końcu tarasu brunetkę.

Była sama i była piękna. Purpurowe maki wyrastały wśród plis czarnej tafty jej sukni, pięły się po szczupłej talii i krzywiznie piersi, by rozkwitać na koronce dekoltu i wokół szyi, gdzie kładły się na nich ciemne kosmyki upiętych wyżej włosów. To nie był strój podróżny, i mężczyźni wiedzieli o tym doskonale. Pocili się, mimo że dzień był chłodny, a słońce zachodziło.

Spacerowała wzdłuż barierki, głąskała stalowe róże, patrzyła w dół, na port i miasto. Obserwowała przyportowe kamienice i wysokie kominy statków za nimi. I dalej, tam gdzie najgłębiej, gdzie zacumowane były dwa kradnące ciepłe światło pancerne giganty. Trwały nieruchomo naszpikowane lufami, jak kanciaste stalowe jeże, chluba marynarki Rzeszy.

Port nie kładł się do snu. Transportowce, wozy, wagony, rozbiegani ludzie i niekończąca się wymiana: wyładunek i załadunek – tysiące skrzyń płynęły w powietrzu równymi rzędami po trajektoriach wytaczanych przez niewidzialne tunele. I ciągły, nużący hałas: mewy przekrzykujące się z portowymi syrenami i metaliczne pomruki – te głośniejsze szły wibracją z wnętrza dworcowej hali. Te cichsze – ze stoczni na wschodzie, gdzie wielkie mechaniczne ptaki niezgrabnie chyliły się nad wybebeszonymi kadłubami.

Kobieta westchnęła i zatrzymała się na końcu tarasu. Siedzący najbliżej pijany Szwed mógłby przysiąc, że pośród zapachów zatoki, dworca i tureckiego tytoniu poczuł woń jej perfum. Pachniała makami i czymś jeszcze, co Szwedowi kojarzyło się z pogrzebami odprawianymi w jego rodzinnej parafii w Falun.

– Już powinien tu być – powiedział mężczyzna przy stoliku w cieniu dworcowej ściany. Miał czterdzieści lat, krótkie szpakowate włosy, drogi londyński garnitur i laskę ze stalową rękojeścią w kształcie smoczego pyska.

– I zaraz będzie – odparł jego towarzysz, dużo starszy i wyższy. Jego ziemista twarz przypominałaby pomietą kartkę, gdyby nie umazane kawą gęste siwe wąsy. – Meinhold nie przepuściłby takiej okazji.

Szpakowaty skrzywił się i spojrzął na brunetkę przy barierce. Stała nieruchomo, tyłem do wszystkich.

– Widziałeś? – Wąsacz podsunął młodszemu „Danziger Zeitung”. Rozmawiali po angielsku. – Minął już rok, a jest tego więcej i więcej.

Ostatnią stronę gazety zajmował list gończy za Piotrem Ostrowskim, polskim mordercą, spiskowcem, okultystą, masonem, złodziejem i podpalaczem; wrogiem Rzeszy, pokoju i Sztuki; sprawcą plugawego zamachu na Ottona Eduarda Leopolda, księcia von Bismarck-Schönhausen, księcia von Lauenburg, Kanclerza Rzeszy. Centralną część ogłoszenia

stanowiła podobizna Ostrowskiego: psychopatyczne spojrzenie wyczernione spod krzaczastych brwi, wykrzywione tłuste usta i skołtuniona czupryna nie zostawiały czytelnikowi najmniejszych wątpliwości, że ma do czynienia ze skurwysynem w najczystszej postaci.

– Cena za jego głowę wciąż rośnie – powiedział szpakowaty.

– Bo Żelazny Kanclerz nie zapomina. Mogą go całego przerobić na mechajda, ale dopóki bić będzie w nim ludzkie serce, Kanclerz będzie pamiętał.

Szpakowaty odłożył gazetę i westchnął. Zastygł na ułamek sekundy, utkwivszy wzrok ponad ramieniem wąsacza.

– Meinhold? – spytał starszy.

– We własnej osobie.

Na progu tarasu stało trzech mężczyzn. Z przodu bliźniacy w mundurach pruskich czarnogwardzistów: profesjonalni zabójcy i przywoici technicy. Rozglądali się po kawiarni z ćwiczoną latami podejrzliwością. Trzeci trzymał się z tyłu i sięgał im do ramion. Pozbawiony włosów, szyi i wyznaczników wieku, wyglądał jak wielkie jajo przystrojone w garnitur, rękawiczki i pstrokate ciżmy. Na jego obłej piersi kładł się wisior: czarny orzeł wpisany w złoty, zwrócony ku górze pentagram. Wisior ogłaszał: oto Herman Meinhold, Cesarski Mistrz Sztuki, uznany specjalista militarnej biologii mechanicznej.

Jeden z gwardzistów podszedł do pięknej brunetki. Gdy po kilku zdaniach ruszyli w stronę Meinholda, goście kawiarni obserwowali ich z milczącym zainteresowaniem. Choć żyli w świecie, w którym cuda spowszedniały już dawno, Mistrz Sztuki publicznie dobierający sobie katarynę stanowił widok doprawdy ekscytujący.

Herman Meinhold był bowiem pyszny i głupi. A dwaj mężczyźni przy stoliku pod ścianą właśnie na to liczyli.

Przybysze i kobieta opuścili kawiarnię. Niedługo później od stolików poczęli wstawać agenci: dwaj barczyści ortodoksyjni Żydzi, po nich niemiecki kupiec i jego towarzyszka.

Szpakowaty dobrze zapamiętał uśmiech wychodzącego grubasa, teraz podsycił nim swoją wściekłość. Stary nasłuchiwał odgłosów z portu. Dłuski zaraz powinien zacząć przedstawienie.

Nagle niebo zgasło na kilka chwil. Rozległy cień przepłynął bezszelestnie nad tarasem, zdawałoby się – na wyciągnięcie ręki. Ludzie odruchowo pochowali głowy w ramiona i, nerwowo uśmiechnięci, przyglądali się cumowaniu brytyjskiego żywolutu.

Bioid lądował na dworcowym dachu. Oplatająca gondolę zielona larwa była wielkości dwóch lokomotyw. Powoli zbliżała się do pali cumowniczych, Union Jack rozpostarty na wypełnionym gazem wielkim organicznym grzybie żarzył się dumnie i nieco złowieszczo. Bioid wypuścił parujące macki, te znalazły pale i oplotły je, przyciągając sterowiec ku płycie lądowiska.

— La Rochelle długo nie wytrzyma — powiedział obojętnie wąsacz. — W sierpniu miną już dwa lata.

Szpakowaty wiedział, że ten spokój to pozór, starzec cierpiał. Jego matka była Francuzką, wąsacz spędził we Francji pół długiego życia. Dziś tamten kraj nie istniał, *de facto* zdelegalizowany jednym pociągnięciem pióra brytyjskiej królowej. Ostatni z bastionów starej Francji właśnie padał, od pięciu lat oblegany przez pancerniki Sojuszu. Rok temu, gdy twierdza wciąż jeszcze trzymała się mocno, okręty Sojuszu, nie przerywając oblężenia, zaczęły wypełzać z wody, by lądem, ziemią i powietrzem naprzec na mury. Dziś niewiele różniło La Rochelle od zgliszcz Paryża czy Warszawy, ale miasto wciąż jeszcze zdobywało się na zacięty opór.

Wiem, że cierpisz, Franciszku, pomyślał szpakowaty. Wszyscy cierpimy.

Wtedy Gdańskiem targnęły eksplozje. Trzy wybuchy, jeden po drugim, w różnych częściach portu, a po nich wystrzały, gdzieś na towarowym nadbrzeżu. Kawiarniani goście, słysząc narastającą kanonadę, obserwowali nerwowo trzy równe smugi pnące się ku ciemniejącemu niebu. Teraz opuszczali taras, ścigani przez cały pluton kelnerów uzbrojonych w niezapłacone rachunki.

Dwaj mężczyźni nie wstali od razu – szpakowały skrupulatnie odliczał pieniądze, wążacz przeglądał ogłoszenia w gazecie. Nie ma pośpiechu. Ludzie Dłuskiego właśnie odbijają tureckim przemytnikom kradzione karabiny. Niech przy okazji porządnie namieszają. Agnieszka zdąży wszystko przygotować, a informacja o strzelaninie dojdzie do elizjum, jego gości i personelu.

- Chodźmy – powiedział wreszcie stary wążacz.
- Myślisz, że już?
- Nie wiem. Kawa mi się skończyła.

zawsze–nigdy, Kresy

Piotr Ostrowski dużo podróżuje, również w czasie snu. Zamyka powieki i coraz częściej trafia na kresowe łąki, do krainy światła, ciszy i przestrzeni. Tam wszystko jest łagodne i takie są jego przechadzki, gdy spaceruje niewysokimi pagórkami, w miękkiej, sięgającej pasa trawie, nad sobą mając pozbawione słońca, bajecznie kolorowe niebo, niczym rozlane na szkle pastelowe farby. Piotr Ostrowski przechadza się na wietrze, ciepłym i odświeżającym, przygląda nielicznym falującym powoli drzewom i szybującym wysoko ptakom-owadom.

A może aniołom?, po raz kolejny zastanawia się Ostrowski, gdy zadziera głowę wysoko, ku amorficznym sylwetkom. Pytanie nie jest bezzasadne, skoro zimowi kardynałowie uznali, że Sztuka, która tamtego gorącego lata pół wieku

temu runęła na nich wraz ze śniegiem i lodem, jest wielkim, wspaniałomyślnym darem od Boga. Człowiek został obdarowany ogromną mocą i przyjął ją z wdzięcznością i pokorą. Cudowna, ale kapryśna i wymagająca wiedza, która najpierw zmieniła umysły kilkudziesięciu najbardziej oddanych Bogu mężczyzn. Potem szybko zmieniła cały świat, wprowadzając zupełnie nowy porządek. Nastąpiło Oświecenie, epoka wielkich przemian i ogromnych możliwości, czas uwielbienia Pana i zacieklej walki w obronie Jego imienia. A wraz z Oświeceniem pojawiły się Kresy, miejsce pomiędzy, gdzie czas i przestrzeń wiją się spiralnie jak dwa splecione w ciasnym uścisku węże.

Kościół, monarchowie i mistrzowie Sztuki skupieni w Zimowym Sojuszu nie mają wątpliwości. Kresy to niebiańskie przedpola, zapowiedź absolutnego spokoju i spełnienia – kluczowa część Boskiego daru, zachęta do podporządkowania się Jego woli i woli Kościoła. Co myślą inni – szaleni pryncy Nowi Husyci, angielskie woterki, czy bywalcy Salonu Końca Świata, tak cyniczni i zachłanni, że niegodni by nazywać ich naukowcami – zjednoczonych Sojuszem oświeconych Europejczyków nie interesuje, co o Kresach myśli cała ta hałastrą.

Piotr Ostrowski za to zastanawia się często. Tym częściej, od kiedy opuściwszy wzniesioną wysoko głowę, na kresowym horyzoncie dostrzega złowieszczą cień Karnawału.

16 kwietnia 1876, Danzig, elizjum Śpiewna Orchidea

Szpakowaty i wąsacz weszli do hali dworcowej, w hałas, smród i tłok, do pulsującego wnętrza gigantycznego stalowego wieloryba. Dwupoziomowe perony pełne były podróżnych przelewających się przez platformy, ruchome schody i dziesiątki wagonów. Lokomotywy sapały jasnym dymem, który szedł wysoko, pod żebra dachu, gdzie rozwiewały go lecące jedna za drugą skrzyńce Cesarskiej Poczty. Nad wszystkim

czuwał potężny czarny orzeł z witraża na centralnej ścianie dworca. Na prawo był malunek, na którym płomienie Ducha Świętego objawiały Sztukę uczestnikom Zimowego Konklawe. Z malunku po drugiej stronie, dla równowagi, spozierał Otto von Bismarck, dumnie wsparty na stalowym ramieniu zakończonym automatycznym młotem.

To miejsce ma wiele z katedry, pomyślał wąsacz, próbując dotrzymać kroku eleganckiemu towarzyszowi. Ciasne i jednocześnie onieśmielająco przestronne, zbudowane z przenikających się cieni i kolorowych rozbłysków, przypominało katedrę i właśnie dlatego mu się nie podobało.

Szpakowaty czuł się tu doskonale. Skutecznie napierał do przodu, szybko więc przedarli się na drugą stronę dworca. Teraz do elizjum: ku jednemu z bocznych wyjść, wybudowanych z myślą o katolickich mistrzach i technerach-pederastach. Szpakowaty poprowadził przez labirynt straganów i sklepików, z początku pełnych różnego badziewia, aromatycznego jedzenia i brzydkich ubrań, potem – coraz droższych i bardziej przestronnych, aż do wąskiego korytarza zakończono-ego masywnymi drzwiami.

W progu korytarza minęli się z dwoma mężczyznami. Jeden mocował się z klamrą oficcerskiego pasa, drugi w biegu zakładał płaszcz. Dobrze, wiadomość o strzelaninie dotarła i tutaj.

– Myślisz, że rzeczywiście nadchodzi koniec świata? – spytał szpakowaty, przyglądając się Piotrowi Ostrowskiemu, mordercy i spiskowcowi, łypiącemu złowrogo z listu gończego na ścianie obok drzwi elizjum.

– Myślę, że mamy go za sobą – odparł wąsacz. Mdle światło z sufitu petryfikowało jego twarz w zniszczony posąg.

Szpakowaty zastukał w drzwi. Gdy uchyliły się, weszli do środka. Chwila prawdy, nie pierwsza tego wieczoru. Byli w przedsionku wytapetowanym w jaskrawe, kolorowe kwiaty. Na drodze do drzwi naprzeciw stało dwóch wyrostków,

obaj z nippońskimi mieczami przy pasie, odzianych w kuse czarne tuniki. Ich ciała pokrywały wzorzyste tatuaże.

W elizjum broń palna nie jest dozwolona. Jej użycie bywa ekstremalnie niebezpieczne podczas regeneracji.

– Krew stygnie, włos się bieli... – zaczął szpakowaty.

– ... w wieczności upadnięm toń – dokończył strażnik, morderca o twarzy cherubina.

Śmierdzą jak paryskie kurwy, pomyślał wąsacz i pozwolił sobie na chwilę sentymentalnego rozrzewnienia.

Drugi strażnik otworzył im drzwi i, jak na prawdziwego konspiratora przystało, potrząsnął zaciśniętą pięścią. Szpakowaty i wąsacz weszli do elizjum.

W środku było tłoczno. I jednocześnie miękko, pastelowo i ciepło.

Przestronny salon zdawał się pozbawiony ostrych krawędzi i zacienionych miejsc. Łagodne pomarańczowe światło wypełniało pomieszczenie jak gęsta, spowalniająca rzeczywistość substancja. Delikatna poświata ciekła z sufitu i parowała zza ekskluzywnych mebli, lepiąc się do wysokich, rozrastających się pod sufitem bioidycznych rzeźb, szemrzących arytmiczne melodie wielobarwnych egzemplifikacji szalonej przyrody Kresów. Subtelne krzywizny schodów wijących się ku korytarzom w górę, kolorowe figury z obrazów na ścianach i dziesiątki ludzi zatopionych w ogromnych kanapach, obsiadających stoliki i bar – wszystko falowało hipnotycznie, układając się w niezapamiętywalne wzory. Wzory, które tańcząc leniwie przed oczami, wymuszały rozluźnienie, wolniejsze tętno, relaks.

Elizjum, świątynia relaksu, pełna była jego wyznawców – ważnych bądź pięknych. Ci piękni tu pracowali: kobiety i mężczyźni we wszystkich możliwych odcieniach i smakach, na wpół rozebrani, uśmiechnięci i odprężeni; nawet kelnerzy, strażnicy i muzyk za fortepianem – zawstydzająco atrakcyjni i wiecznie gotowi. Ci ważni to goście: mistrzowie i technerzy

– kapłani i rzemieślnicy Sztuki, potrzebujący regeneracji i osiągający ją właśnie tutaj, poprzez fizyczną rozkosz. Piękni ludzie łąsili się do żołnierzy, inżynierów i profesorów, kusili zapachem, spojrzeniem i gestem, obiecując ekstazę i odprężenie. Tak też opadli szpakowatego i jego towarzysza, roześmiane kolorowe motyle, stworzone, by dawać.

Szpakowaty delikatnie odepchnął od siebie blondynkę, głaszczącą stalowy smoczy pysk na rękojeści jego laski. Wyminął trzymające się za ręce bliźnięta i obejrzał się na wąsacza. Starzec odmówił wina kelnerowi niejasnej płci, dogonił szpakowatego. Ruszyli schodami w górę.

Elizjum nie dało za wygraną. Poręcz, coraz przyjemniejsza w dotyku, zaczęła się przymilać; gęsty chodnik falował pod stopami jak kresowe łąny. U szczytu schodów minęli się z kimś – szpakowaty zapamiętał tylko ciemnoczerwone wargi rozciągnięte w uśmiechu i jeszcze ciemniejsze sutki. Tak trudno im było nie poddać się presji tego miejsca, ciążyły ubrania i obowiązki.

Ciażyła niepodległa Rzeczpospolita.

Wiedzieli, że to już blisko. Szpakowaty denerwował się, mimo że znał takie miejsca doskonale. Pulsowanie w nadgarstkach, przyspieszony rytm serca, wilgotne dłonie chętnie składające się w pięści.

A, do diabła.

Denerwował się właśnie dlatego, że znał takie miejsca.

No i nie znał drogi.

Wstrzymał oddech, zawołał Agnieszkę, otworzył się szeroko i

leżał zakrwawiony na zimnej posadzce. Obolały, z opuchniętymi ustami i pogruchotanym nosem, rozpaczliwie walczył o każdy oddech. Załzawiony i zasmarkany, patrzył na swoje posiniaczone nogi w porwanych pończochach, oglądał jedną

z nich podskakującą nieregularnie, zupełnie mu obcą. Patrzył na kształt przed sobą, mężczyznę bez twarzy i

zadygotał i oparł się o ścianę. Ale już wiedział.

Ruszył pustym korytarzem, lecz po kilku krokach zawrócił. Wąsacz wciąż stał przy schodach, tępo wpatrzony w falujący w dole tłum.

Szpakowaty znał to puste spojrzenie. Wzrok niewolników dławiących się wyperfumowaną wełną.

Wyrastająca z poręczy seledynowa roślina zaśpiewała do nich cicho. Spiskowiec zignorował ją i pociągnął wąsacza w głąb korytarza. Tam rozejrzał się i widząc, że są sami, z całej siły dał mu w pysk.

Kiedy wąsacz z trudem podniósł się z kolan, szpakowaty wzruszył ramionami.

— Przepraszam — powiedzieli jednocześnie i uśmiechnęli się nerwowo.

Ruszyli w głąb korytarza, ku prywatnej części elizjum: cesarskiego salonu, w którym dziś, poprzez piękną katarynę przybyłą prosto z Waszyngtonu, regenerować się miał sam Herman Meinhold, nieoceniony mechabiolog Rzeszy.

Drzwi były mocne, bez wątpienia zamknięte od wewnątrz, z tabliczką informującą o zakazie wstępu. Wąsacz zerknął na towarzysza. Szpakowaty spojrział w górę, na wskroś przez pokryty perwersyjnym freskiem sufit.

Nacisnął klamkę.

Salon był przestronny, ciemny i przytulny jak moskiewskie kazamaty. Słabe światło wydobywające się przez otwarte drzwi jednej z sypialń i dziwnie przerośnięte meble nadawały pomieszczeniu groteskowy i jednocześnie funeralny charakter. Wrażenia dopełniały leżące na środku salonu zwłoki czarnogwardzistów.

Szpakowaty starał się im nie przyglądać. Trupy, które zostawiała za sobą Agnieszka, niepokoiły go. Wyglądały, jakby ktoś pozbawił je kości i dał do zabawy nieładzko silnemu, rozbrykanemu trzylatkowi. Czarnogwardziści musieli być doskonałymi żołnierzami i zaawansowanymi bojowymi technerami, tego wieczoru z pewnością naładowanymi po uszy. Szpakowaty pokręcił głową. Czarnogwardziści, w dodatku bliźniacy. Z jego żoną nie mieli żadnych szans.

Stała w progu sypialni, czarna sylwetka na jaśniejszym tle. Szpakowaty i wąsacz minęli ciała żołnierzy i poszli ku niej.

Herman Meinhold siedział na podłodze w kącie sypialni. Nagi, oświetlony mizernym światłem ściennej lampy, jeszcze bardziej niż godzinę temu kojarzył się z wielkim jajem. Przyjrzał się uważnie wchodzącym mężczyznom, wykrzywił wargi w niejasnym uśmiechu.

Tego się nie spodziewali. Meinhold musiał wiedzieć, że umrze tej nocy. Obejrzał to, co Agnieszka zrobiła z jego ludźmi, i wciąż nie okazywał strachu.

— Dzentelmeni ze stolika pod ścianą. — Miał niski, przyjemny głos. — Francuzi?

Szpakowaty był pod wrażeniem. Dobrze, że była Agnieszka.

— Polacy — wyjaśnił Meinholdowi. — Moją żonę już zdążył pan poznać.

Spojrzeli na nią. Stała przy wysokim oknie, zza ciężkich kotar obserwowała miasto.

— To jest pan Franciszek Michalski — kontynuował szpakowaty. — Ja jestem Piotr Ostrowski.

To miał być decydujący cios. Najbardziej odrażające w całej Rzeszy nazwisko zawisło między nimi.

Cios poszedł w gardę: Meinhold tylko uniósł brwi. Po chwili znów gardził i nienawdził.

— Myślałem, żeś pan jest wyższy, Herr Ostrowski.

Piotr Ostrowski wzruszył ramionami.

— Ciągle mi to mówią.

- Doprawdy? — Meinhold zerknął na Agnieszkę i zachichotał. Podłoga skrzypiała cicho pod śmiejącym się Niemcem.
- A teraz porozmawiamy, panie Meinhold — powiedział w końcu Piotr Ostrowski. — Porozmawiamy o tym, gdzie znajdę Paulusa.
- Mit.
- Słucham?
- Paulus to mit. Nie istnieje.
- Gdzie znajdę Paulusa?
- Dlaczego miałbym to wiedzieć?
- Bismarck szukał go całymi latami. I tej zimy nagle przestał.
- Więc już go ma.
- Wtedy nie byłbyś w Gdańsku.
- Żałuję pańskiej żony, Herr Ostrowski — westchnął Meinhold. — Gdyby nie to najście, dowiedziałyby się, jak smakuje porządna, niemiecka Wurst.
- Ostrowski poczekał i wreszcie zapytał po raz trzeci:
- Gdzie znajdę Paulusa?
- Jakaś licha ta gadzina. — Mechabiolog wskazał na rękójść laski Ostrowskiego. — Lichutka.
- Franciszek Michalski odchrząknął z głębi pokoju.
- Agnieszko — powiedział Ostrowski, patrząc Meinholdowi w oczy.
- Potem zaczekał, aż żona ośmieszony trzydzieści lat wytężonych prac nad szczelnością elizjów.
- Poculi to wszyscy trzej. Zatykająca uszy fala zimna, gdy Agnieszka Ostrowska sięgała poprzez Kresy. Gdzieś na końcu ulicy sypnęło szybami po bruku. Podeszła do męża i podała mu duży, chłodny przedmiot. Ostrowski wziął go ostrożnie, nie dotykając jej dłoni. Gdy odwrócił się do Meinholda, wiedział już, że Niemiec powie im wszystko.
- Oczy Meinholda mówiły, że niedowierza temu, co widzi. I że się boi. Nagi człowiek boi się całym ciałem, i tak właśnie

bał się Herman Meinhold: bezskutecznie chował się za krągłymi ramionami, wciskając miękkie plecy w kąt sypialni.

Ostrowski z trudem powstrzymał uśmiech. To jednak prawda! Długie miesiące ciężkiej, niebezpiecznej pracy nie poszły na marne. I pomyśleć, że z początku w to nie wierzyli – on, Michalski, Dłuski i inni. Niedowierzali, myśląc, że to niemiecki fortel, plotka, podrzuczona, by wyprowadzić ich w pole. Bo czy możliwe, aby wielki Herman Meinhold cierpiał na tak szaloną przypadłość? Czy w dzisiejszych czasach, oświeconym wieku Sztuki, pary i zmiany, może w ogóle istnieć tak groteskowa fobia?

Nie wniesiesz broni palnej do elizjum, nie sprowadzisz jej poprzez kresowe pola. Ostrowski miał świadomość, że Agnieszka dokonała niemożliwego, nie pierwszy zresztą raz. Co w tym dziwnego, skoro sama była niemożliwością?

To nie podziw dla jej wyczynu kazał Meinholdowi wpatrywać się w rzecz, którą Agnieszka podała mężowi. Już nawet nie strach, lecz pierwotne, nielogiczne, odbierające rozum i siłę przerażenie. Herman Meinhold śmiertelnie i niewytłumaczalnie bał się bowiem karabinów.

Stojący nad nim Piotr Ostrowski trzymał długi i ciężki, stary dobry karabin Dreyse'a.

Z głowy pana Piotra

Piotr Ostrowski ma świetną pamięć. Dobrze pamięta swój poród.

Pamięta płacz matki i własny, gdy poczuł wprawne, szorstkie dłonie akuszerki. I wrzask, który rozległ się chwilę potem. A wrzeszczały wszystkie – akuszerka, służące i, gdy go jej pokazano, również matka. Darły się wniebogłosy, bo urodził się jego brat.

Ostrowski pamięta, że kobiety sowicie przekupiono, by milczały. I rzeczywiście zamilkły. Akuszerkę znaleziono kilka